

Gdzie hierarchia potrzeb?

Z początkiem 1967 roku Egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Poznaniu zwróciła uwagę na konieczność poprawy warunków pracy i warunków socjalno-bytowych załóg wielkopolskich zakładów pracy oraz sprecyzowała podstawowe kierunki działania w tym zakresie. W oparciu o te wytyczne w poszczególnych przedsiębiorstwach opracowano programy poprawy warunków pracy i socjalno-bytowych na lata 1967-70. Z kolei zostały ustalone programy terenowe (powiatowe, dzielnicowe) i w końcu — program wojewódzki.

W realizacji wytyczonych w 1967 roku zadań poczesna rola przypadła aktywistom zakładowym. W zakładzie bowiem rozstrzygane są na co dzień niemal wszystkie podstawowe sprawy pracownicze. Fakt ten winien być znaleźć odbicie w każdym programie.

Niniejsza publikacja właśnie z tego punktu widzenia ocenia jeden z zakładowych programów i przedstawia problemy związane z jego realizacją.

Zgodnie z założeniami programu poprawy warunków pracy i warunków socjalno-bytowych w Wytwórni Wytworów Tytoniowych w Poznaniu (posiadała wydział w Kościanie) w latach 1967-68 m. in. uzyskano ten ren pod pracownicze ogródkę działkową (w Poznaniu), oddano do użytku międzyzakładowy blok mieszkaniowy w Kościanie i tamże została wyposażona świetlica, udzielono sporej liczbie pracowników pożyczek na wkłady do spółdzielni mieszkaniowych, zorganizowano w Bierutowie zimowisko dla dzieci, a także uatrakcyjniono im kolonie letnie (stworzono warunki do spędzenia ich w Poroninie, a nie jak dotychczas w zakładowym ośrodku koło Szczecinka).

Obok tych zadań w programie WWT znajdujemy sprawy raczej mniejszej wagi, a ponadto takie, które zostały ujęte chyba tylko w wyniku niedopatrzenia. Oto w planie zarówno na rok 1967 jak i 1968 czytamy:

„Przeprowadzać stałą konserwację autobusu w celu utrzymania go w stałej sprawności”.

Inna pozycja dotyczy naprawy zepsutego radiowozu.

A przecież naprawa urządzeń i ich konserwacja wchodzi w zakres podstawowych obowiązków pracowniczych. Umieszczenie ich przeto w wieloletnim programie poprawy warunków pracy jest po prostu nieporozumieniem. Obniża rangę programu. Tym bardziej że na rozwiązania czeka wiele poważnych problemów.

Spśród zakładów przemysłu tytoniowego najgorsze warunki pracy są właśnie w Wydziale WWT w Kościanie. Bez porównania lepiej jest w Poznaniu, ale i tu nie brak złożonych problemów. Należy do nich m. in. przestarzały park maszynowy, nadmierna fluktuacja kadr, wzrost wypadków przy pracy.

Dlatego w programie tak mało jest zadań w zakresie bezpośredniego przeciwdziałania tym niedobrym zjawiskom?

Najważniejsze środki zaradcze przekraczają kompetencje zakładu — mówią dziennikarze i aktywiści związkowi z Poznania i Kościana. — Poprawa w Kościanie może nastąpić jedynie w wyniku budowy obiektu produkcyjno-magazynowego, w którym znajdą się również pomieszczenia o charakterze socjalno-bytowym. O taką inwestycję walczyliśmy ze zjednoczeniem już od 8 lat. Według ostatnich danych ma być realizowana po roku 1970. Przeciwdziałanie fluktuacji wiąże się natomiast przede wszystkim ze zmianą taryfikatora płac...

Zapewne nie są to sprawy, które rozstrzygać można na „szczeblu” zakładu. Szkoda natomiast, że w jego programie nie znalazły się zadania możliwe do załatwienia we własnym zakresie, a dotyczące bardzo doczułowych bolączek załogi. M. in. chodzi o system klimatyzacyjny (w Poznaniu), który nie odpowiada wymogom (np. po włączeniu tych urządzeń przez godzinę zanieczyszczają one powietrze w halach produkcyjnych). Nie zdecydowano się nawet na to, by zlecić fachowcom dokonanie odpowiedniej ekspertyzy lub też podpatrzyć jak rozwiązano problem klimatyzacji w innych fabrykach papierosów (Kraków, Radom). Między tego typu bolączkami, a fluktuacją kadr i wypadkami przy pracy istnieje chyba wyraźny związek.

Odnajdujemy jeszcze, że program nie wspomina ani o uruchomieniu zakładowych punktów usługowych, ani też o zorganizowaniu stołówki (a kiedyś można było zjeść w fabryce obiad) i z kolei przypatrzmy się przyczynom niewykonania niektórych istotniejszych zamierzeń.

W kościańskiej filii WWT miała być uruchomiona pralnia (odzież roboczej) obsługująca cały zakład. Odpowiednie urządzenia kupiono, ale w Kościanie pierze się jedynie odzież miejscowych pracowników. Dlaczego? Bo brak dodatkowego etatu, a ponadto nie ma suszarni.

Program zakładał przebudowę kiosku spożywczego (powiększenie zaplecza) i wyposażenie go w ladę chłodniczą. Na ladę zabrakło ponoć pieniędzy, a ponadto na dostawę takiego urządzenia trzeba czekać dwa lata. Jeśli chodzi o przebudowę to stwierdzono, że jest pozbawiona sensu. Kiosk znajduje się bowiem w niewłaściwym punkcie.

Te dwa przykłady świadczą bardzo wyraźnie o tym, że przed ułożeniem programu nie analizowano ani celowości niektórych zadań, ani też możliwości ich realizacji. Ponadto — jak już powiedziano — w programie znalazło się zbyt mało spraw szczególnie istotnych dla poprawy warunków pracy i warunków socjalno-bytowych, a zbyt dużo kwestii drugorzędnych. Ścisłej mówiąc takich, które wchodzą w zakres podstawowych obowiązków służbowych (np. konserwacja autobusu). Nasuwa się przeto wniosek weryfikacji programu, uzupełnienia go istotnymi, a przy tym możliwymi do zrealizowania, zadaniami.

Na koniec kwestia informowania załogi o przebiegu realizacji programu. Dziennikarzowi powiedziano, że na ten temat załoga otrzymuje sporo wiadomości. Nie ma powodów, by temu nie wierzyć. Można jednak założyć, że informacje nie są przekazywane na bieżąco. Wynika to z faktu, że pod koniec I dekady lutego br. nie była jeszcze gotowa analiza realizacji programu za II półrocze 1968 roku. Jeśli dodać, że w tego rodzaju dokumentacji dotyczącej I półrocza 1968 niewykonanie niektórych zadań tłumaczono w sposób budzący zastrzeżenia (np. nie dokonanie przebudowy kiosku uzasadniono... brakiem lady chłodniczej) system informowania o realizacji programu trudno uznać za dobry.

Tyle uwag co do programu poprawy warunków pracy w WWT. Uwag, które być może aktualne są również w odniesieniu do innych zakładów i przedsiębiorstw.

Nad programem poprawy bhp w Wytwórni Wytworów Tytoniowych

Nie dajcie zginąć sprawie, a jeśli Wam starczy sił, nie przebacząc katom szubienicy. Niech pozna wróg, że lud roboczy, raz rozbudzony, nie ustanie w walce, aż zwycięży — pisał z X Pawilonu Cytadeli do towarzyszy na wolności. Brzmiało to posłanie jak testament, ale każde słowo było przepełnione niezachwianą, optymistyczną wiarą w słusność sprawy, o którą walczyli i za którą ginęli członkowie „Proletariatu”. Jeszcze raz tę wiarę ogromną zawrę w słynnym „Mazurze kajdaniarskim”, jeszcze tylko przez moment rzuci okiem na budzącą się do życia Warszawę prowadzoną do więziennej kibitki i wejście w mrok szlisselburskiej twierdzy.

Cztery lata umierał w kamiennej celi zanim „skonął” — i wrócił do kraju wielki rewolucjonista Ludwik Waryński.

Miał 21 lat, kiedy przyjechał do Warszawy z mocnym postanowieniem, aby wszystkie siły i zdolności oddać sprawie socjalizmu.

Twoje zdanie o książce

Spotkał się w jednej izbie przyfrontowego szpitala: pierwszy zszedł z polską armią ze Związku Radzieckiego i utknął na przyczółku za Wisłą z poharatanymi nogami, drugiemu „ludzie z lasu” przetrzeli kolana w czasie akcji paracelacyjnej, trzeci z szeregów AK trafił do band walczących z „drugim wrogiem”. Też dostał serię po nogach.

Umieścił ich razem, na trzech łóżkach „pod trzynastką” Wacław Biłski, autor książki „Nagrody i odznaczenia”. Osobiście znał wielu podobnych — w oficerskim mundurze przeszedł szlak od Riazania do Berlina, widział po drodze parcelację na Lubelszczyźnie. Po wojnie przez dziesięć lat był księgowym — mówi, że do pisania skłoniła go żyłka dziennikarska i chęć obiektywnego odzwierciedlenia losów tego pokolenia, do którego sam należy. Mieszka w Łodzi, uprawia dziennikarstwo radiowe. W dorobku ma interesujący, duży album fotograficzny „Łódź jaka znam”, który powstał w wyniku amatorskich spacerów z aparatem po mieście. Album budzi rzetelne zaufanie do zmysłu obserwacyjnego jego autora. Podobnie „Szkic do portretu” — monografia reportażywa małego miasteczka. Pasjonuje się tematyką wojenną. Jego książki z tego zakresu to: „Bój”, „Łato po wojnie”, „Szósta bateria” i wreszcie interesujące nas „Nagrody i odznaczenia”.

Koniec wojny jest bliski — mówi autor — ale jesienią czterdziestego czwartego w społeczeństwie budzą się pewne niepokoje. We wcześniejszych latach okupacji nikt nie wątpił, że Niemcy przegrają i nie-



„Ja wrócić do kraju...”

W 80 rocznicę śmierci Ludwika Waryńskiego

Zetknął się z tą ideą jako student Instytutu Technologicznego w Petersburgu. Wraz z rosyjskimi przyjaciółmi wziął tam udział w antycarskich demonstracjach. Wydalony z uczelni odbył na Ukrainie przez sąd nakazany roczny pobyt pod nadzorem policji i przez ten rok pogłębił wiedzę o sprawach ludu pracującego. Zaczął pracę jako robotnik u Lilpopy, nawiązał kontakt z rewolucyjnymi studentami Warszawy i już wkrótce stał się czołowym działaczem kółek socjalistycznych.

Z jego to inicjatywy powstają pierwsze „Kasy Oporu” jako wyraz samoobrony robotników przed wyzyskiem fabrykantów. Z jego inicjatywy gromadzą te kasy pierwsze kwoty na „fundusz strajkowy”. To są początki zorganizowanego ruchu. Później przyjdzie „program brukselski” stwierdzający, że polscy socjaliści dążą do zmiany stosunków społecznych czyli rewolucji socjalnej, przyjdzie praca publicystyczna, radość z rozwoju kółek socjalistycznych i smutek po pierwszej klęsce — masowych aresztowaniach w latach 1878-79.

Ucieczka do Galicji i słynny list do warszawskiego prokuratora: „Ja do kraju wrócić i dalej pracować będę w raz obranym przez siebie kierunku...”

Wrócił w końcu 1881 roku, ale przedtem był proces krakowski i pełne dumy oświadczenie przed obliczem austriackiego sądu: „Program nasz nie podnosi buntu jako celu socjalistycznej propagandy. Lud, gdy chwilę uzna za potrzebną, skieruje swą działalność nie przeciw pojedynczym jednostkom, ale przeciw instytucjom, które stoją na przeszkodzie swobodnemu rozwojowi mas...”

Kiedy wrócił do Warszawy, kółka socjalistyczne były niemal kompletnie rozbite w wyniku zastrzonego terroru carskiej ochrany. Krok po kroku nawiązuje Waryński przrywane kontakty, skupia wokół siebie garstkę najodważniejszych i najbardziej ofiarnych działaczy. Teraz Waryński już wie, że „luźne, zastoso-

wurowe akcje partyzanckie przeciw okupantowi, wrośnięty w dyscyplinę AK, gdzie chłopcom powtarzano stale: „nie politykować” — nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić w nowej sytuacji. Siostrę Joannę trudno potępić całkowicie bo usprawiedliwia ją wielkie uczucie. A cwaniak — intendencja tak przywykła do mniemania, że wszelkie kombinacje jest działaniem na szkodę okupanta, że i później nie zastanawiał się nad moralną stroną swoich szwindli.

Jednak ich ludzie znali już Ma-

musiało miejsca ścisłej organizacji...”

1 września 1882 r. wydana w tajnej drukarni w Warszawie odezwa proklamuje powstanie Międzynarodowej Socjalno — Rewolucyjnej Partii „Proletariat”.

Program nowej partii świadczył, że „Proletariat” stojąc na gruncie klasowo — rewolucyjnym przezwykłał wpływ socjalizmu utopijnego, liczącego na dobrowolne wyrzeczenie się przywilejów przez klasy posiadające. Program ten zawierał wiele postulatów świadczących o wyraźnym zbliżeniu się do myśli marksistowskiej.

Zaledwie rok działał Ludwik Waryński na wolności jako przywódca „Wielkiego Proletariatu”. Ale był to rok niezwykle rozwoju i partii i idei socjalistycznych. Z każdym dniem przybywało działaczy, rozwijała się działalność wydawnicza, samokształceniowa, propagandowa. Na wiązano kontakty z rewolucjonistami rosyjskimi (jeden z nich, Piotr Bardowski, będzie później sądzony wraz z Waryńskim) i ustalono, że „zjednoczonemu wrogowi należy przeciwstawić zjednoczone równie siły”. Strajki przekształcają się w groźne demonstracje klasy robotniczej, dzieła Marksa i Engelsa czytają już setki i tysiące. „Widmo komunizmu” krąży nad Europą coraz realniej nadciągają nad ziemię polską, spędzało sen z powiek fabrykantom, żan darmom, carskim stróżom uświęconego porządku.

„Uczciwie służyłem swej sprawie i gotów jestem za nią życie poświęcić” — powiedział Ludwik Waryński w ostatnim słowie. Oddał to życie w celi Szlisselburga, marząc zapewne do końca, aby ziściły się jego słowa: „My nie stoimy ponad historią, my ulegamy jej prawom. Na przewrót, do którego dążymy, patrzymy jak na rezultat rozwoju historycznego i społecznych warunków. Przewidujemy go i staramy się, aby nie zastał nas nieprzygotowanych”.

W ćwierć wieku później tym „prawom historii” uległ lud Rosji carskiej. W dwadzieścia osiem lat po Rewolucji Październikowej i w Polsce zakwitł socjalizm. Fabryki, szkoły, statki i ulice noszą dziś imię wielkiego Proletariatyka. Triumfalnie wrócił do kraju.

W przyfrontowym szpitalu — rok 44

ce przyniosą radykalną zmianę w warunkach narodowego bytu. Po latach ciężkich doświadczeń optymizm rodził się wolno; prawdziwą, powszechną radość przyniosło najpierw ustalenie granic zachodnich, a później ostateczne zwycięstwo. Zdobycie Berlina dało poczucie sprawiedliwego rozrachunku historii za zniszczoną Warszawę.

Pańscy bohaterowie nawet w myślach nie wybiegają tak daleko naprzód, każdy z nich raczej powraca do wspomnień — z frontu, z partyzancki. Są to ludzie pokrzywdzeni przez los groźba kalectwa fizycznego i — wydaje się — także psychicznego.

Nie wiem, jak to odbierają czytelnicy, ale sam uważam, że nie ma w tej książce postaci negatywnych. Ten trzeci — Jarek — uczestnik bra-

nifest PKWN, mieli jakie takie rozczepianie polityczne.

Elementarz polityczny pewnej części ówczesnych młodych ludzi sprowadzał się do kilku haseł wyniesionych z okresu walki z okupantem: bić Niemców, odzyskać niepodległość. Szeroki i konkretny program polityczny i społeczny przedstawiała lewica, jednak nie wszyscy umieli zastanowić się nad głębokim sensem tego programu, jedynego realnego programu odbudowy Polski. Pamiętam na Lubelszczyźnie wście w których chłopcy w listopadzie chodzili boso. Sam ten widok wystarczył aby wynieść przekonanie że istnienie nowej Polski wiąże się nierozdzielnie z daleko idącymi reformami społecznymi. Ale część młodzieży przyzwyczajona do

ślepego posłuszeństwa wobec reakcyjnej przeciw „góry” nie przyjmowała nawet tych oczywistych argumentów.

Jak panu wiadomo — proponujemy naszym młodym czytelnikom, aby przekazali swoje opinie o pańskiej książce, jej problematyce i bohaterach. Przyjęliśmy zasadę całkowitej swobody wypowiedzi, nie narzucamy żadnych tematów, ale to nie przeszkadza, aby pan zasugerował taki temat, który pana jako autora interesuje najbardziej.

Z satysfakcją poznałbym szczerą odpowiedź na pytanie: „co sądzicie o Waszych ojcach?”, bo przecież uczestnicy ankiety są dziećmi pokolenia moich bohaterów, mojego pokolenia. Niejednokrotnie na spotkaniach autorskich moi rozmówcy nawiązują do wspomnień rodzinnych.

Zna pan oczywiście książkę Zbigniewa Żaluskiego „Czterdziesty czwarty”. Pańska powieść, moim zdaniem, wyrasta z tego samego ducha.

I ja tak myślę. Rzecz jasna — Żalusiński rysuje szeroki panoramę historyczną, ale tylko wycinek, i to w formie zbeletryzowanej, więc słusznie innym celom i pozostawiającej margines swobody — na przykład w wyborze zjawisk, które się opisuje lub przemilcza. Wybrałem trzy warianty postaw najbardziej charakterystycznych dla młodzieży roku 44. Starałem się nie wydawać wyroków na ludzi zagubionych, często skrzywdzonych.

A pańska następna powieść? — Opisuje dwa ostatnie miesiące wojny — kwiecień i maj 1945 r.

Rozmawiał:

WOJCIECH BURTOWY

Na wypowiedzi o książce Wacława Biłskiego „Nagrody i odznaczenia” oczekujemy przez trzy tygodnie licząc od dnia dzisiejszego.

O wilkach, bosonogich i hrabi Potockim

Niedawno przebywałem kilka tygodni w ustroniu, lecz uroczym Rymanowie. Tamtejsze sanatorium specjalizuje się w leczeniu układu oddechowego. Rzeczywiście leczenie czyni u niektórych zadziwiające postępy. Podobno sam klimat — czy też jak chcą fachowcy mikroklimat tutejszy — jest wybitnie sprzyjający cierpiącym na trudności w oddychaniu. Rymanów leży jak gdyby w rynninie, pomiędzy łańcuchami niewysokich wzgórz, i wiatry pędzą tą rynną od przełęczy Dukielskiej masę bezpylnego, absolutnie czystego powietrza. Prawda, że wiatry te bywają srogie, nawet dokuczliwe, ale powietrze zwłaszcza dla mieszcucha, jest wprost balsamiczne.

Wzgórza porośnięte są lasami. Przeważnie świerkowymi, cudownie teraz opatulonymi w śniegowe czapy. Z sanatorium można w różne strony iść w lasy po parę kilometrów i żywego ducha nie spotkać. Były tu w lasach zapadłe wsie, ale spalone przed dwudziestu laty już się nie podniosły. Jesteśm przecież na pograniczu Bieszczadów. Faktycznie za czynają się one jeszcze nieco dalej na wschód, ale spojrzycie na mapę i poszukajcie Rymanowa, Iwonicy — czy nie będziecie przekonani, że to już w Bieszczadach?

Zresztą najświeższa historia tej ziemi to historia Bieszczadów. Krwa wa wojna domowa, wojna bratobójcza wybuchła już po zakończeniu tej światowej, dotknęła tutejsze okolice tak samo jak Bieszczady. A dzisiaj? Też wiele podobieństw. Ot choćby wilki.

Podczas jednego ze spacerów, samotnych i dalekich, zauważyłem na leśnej drodze ślady krwi. Powtarzały się systematycznie. Kiedy zaczynałem uważnie patrzeć pod siebie dostrzeżłem trawnik i kilka dużych zwierząt. Nie znam się na tropach, ale wystarczała wielkość, aby pomyśleć na przykład o niedźwiedziu. Wracając osłabiałem się trochę niespokojnie, a każdy szelst przewieszał bicie serca. W pewnym miejscu

z lasu wychynał człek z myśliwska odziany, którego o te ślady zagadnąłem.

— Wilki — powiedział. — Widział pan może ślady posoki? To ja dziś przed świtem ciągnąłem tędy dwie sztuki. Strułem je przynętą wyłożoną, a tutaj, na polance.

Okazało się, że poznałem pełnomo cnika do walki z wilkami na kilka sąsiadujących powiatów. Nie mogłem sobie odmówić satysfakcji, aby nie popatrzyć na dwójkę brych rabusów wiszących łbami w dół w szopce mojego przygodnego znajomego. Była to dla niego dobra noc, dostaje 1700 zł od sztuki. W poprzek nim sezonie, jak mi opowiedział, za strzelono wilka 100 m od głównego budynku sanatorium, po prostu na dziedzińcu. Co roku odstrzeliwuje się też rysie, których w pobliskich lasach jest nadmiar. Są oczywiście także żbiki (jeden z kuracjuszy opowiadał o dużym, dzikim... kociu, jakiego widział na spacerze).

A więc stwierdziłem na miejscu, że opowieści o wilkach, rysiach, niedźwiedziach to wcale nie bajki. Choć nie byłem przecież w Bieszczadach, których to opowieści dotyczą. Ale nie te sprawy zajmowały mi najwięcej wolnego czasu. Znajdowałem się przecież na ziemi opromienionej legendą, opisaną w popularnych książkach, tyle razy wspominanej w podręcznikach historii, ziemi hetmanów i marszałków, rycerzy i hardców, bohaterów ludu. To stąd najwięcej naszych emigrowało ongiś na ocean. Tu więc była widocznie największa nędza. Jak ta ziemia dziś wygląda?

Zapytałem na przystanku kobiety o autobus do Rymanowa — miasta. Jechałem tam również. Typowo po kobiecemu rozmowna opowieść mi wiele w krótkim czasie. Nie było tu przed wojną, ani drogi asfaltowej ani autobusu. Chodziło się do miasta pieszo. Ba, i do Krosna szło się na piechotę. Teraz niech się autobus spóźni to już awantura. Pierwsi się awanturują młodzi. Ale co oni wiedzą. Jak daleko ich pamięć sięga to autobus już kursował. Tak więc musi być i koniec. — Panie, moja córka nie chce wierzyć, że ja miałam tylko łapcie na drewnianej podeszwie, wyrabiane w domu. A i te niosłam pod pachą a ubierałam dopiero dochodząc do miasta. A ona teraz kupiła dwa tygodnie temu buty skórzane za paręset złotych i już nie chce nosić bo się jeden obcas wykrzywił. Kup mi mama nowe, powiada, bo mi w takich wstyd chodzić. Nie chce, panie, wierzyć w to jak myśmy żyli.

Jak mają wierzyć, gdy od kolebki obserwują inny świat. Ja też czasami oczom nie wierzę. Na przykład w niedzielę, gdy obserwowałem idących do kościoła i gdy co drugi chyba paradował w futrze, przy czym samych futer karakulowych u kobiet zauważyłem bodaj kilkanaście. Podczas jednego spaceru! Pragnę przypomnieć, że Rymanów jest wsią, okolica to także wioski, nie ma tu żadnego większego przemysłu, nie licząc garbarni w Rymanowie — mieście.

Po co jednak obserwacje świętećne. Wystarczy że codzienne. Nie ze

święcą, lecz z dobrym reflektorem trzeba by tu szukać dziewczyny, która by nie miała na nogach dobrych, skórzanych botów po kolana. Ludzie ubrani solidnie, ludzie dobrze odżywieni. Ba, w miejscowej restauracji nietrudno spotkać już od rana dwudziestoletnich wyrostków dobrze podchmielonych. Świadczy to o tym, że ci młodzi ludzie nie zdobyli jeszcze nawyków ciekawszego, pożyteczniejszego spędzania czasu, ani celowszego wydawania pieniędzy. Ale świadczy też o tym, że ci młodzi dobrze ubrani ludzie mają takie nadwyżki pieniędzy, że mogą je przepuszczać w knajpie.

Odbyłem kilka wycieczek, przejechałem szmat tej ziemi. Uderzające jest budownictwo po wsiach i miasteczkach. Stare — to wszystko domy drewniane, małe, choć o kunsztownej niekiedy fasadzie. Nowe — wyłącznie murowane, z czerwonej cegły, obszerne, zamożne. I tak czerwieni się w każdej wiosce aż gęsto. Wkrótce czerwień będzie kolorem dominującym w wystrój rzeszowskich miejscowości. I wszędzie ludzie podobni: dobrze ubrani, pewni siebie, wyprostowani. I młodzież do rodna, wesoła.

Czyż mogłem będąc tam nie zwiedzić Łańcuta, a właściwie istniejącej tam najwspanialszej bodaj w naszym kraju siedziby magnackiej? Byłem, zwiedziłem. Pałac jest istotnie wspaniały, siedziba już nie magnacka a królewska. Ciekawa jest też jego historia. Jak również historia jego właścicieli. Toż to przecież kawał historii Polski. Ta kolosalna rezydencja zbudowana została przez Lubomirskich, którzy tu na południu Polski posiadali ni mniej ni więcej jak ponad trzysta wsi, kilka dziesiąt miast z Rzeszowem włącznie i ogromne obszary ziemi. Ot z czego wyrosła rezydencja. Z potu tego ludu, z którego wysysano wszystkie sily. A niech tylko próbował się buntować. We krwi takie buntury topiono. Ale i tak chwala Lubomirskim, że wspaniały obiekt architektury postawili, że wnętrza jego wyposażyli w cudowne meble, że dbali o zamek nie szczędząc na niego grosza.

Albowiem po Lubomirskich przyszedł Potoccy i wtedy skończył się okres świetności rezydencji. W tym przynajmniej sensie, że nie już istotnego nie przybyło. Odziedziczywszy latyfundium Lubomirskich Potoccy olbrzymie dochody na ogół wywozili za granicę. Wsławił się zwłaszcza ostatni ordynat — hrabia Alfred Potocki, którego fanaberia są w Rzeszowskim sławne. Pod koniec lat dwudziestych kupił on sobie w Turcji konia za — bagatela — 300 tysięcy dolarów! Pamiętajmy, że dolar miał wtedy chyba dwa razy większą wartość. Polowanie w Afryce kosztowało tegoż hrabiego ponad 150 tysięcy dolarów. Będąc w dobrych stosunkach z Niemcami hrabia Alfred przez całą wojnę bez uszczerbku panował na swoich włościach. Zaś gdy Niemcy mieli się już, już wycofywać otrzymał od nich pocier (!), na który załadował wszystko co najcenniejsze i wywiózł na zachód. Meble, obrazy, zbiór uprząży (podobno najcenniejszy w Europie po zbiorze królów angielskich) — skarby sztuki i kultury, wszystko to dostało się wkrótce w obce ręce, albowiem hrabia, który dotrwał podeszłego wieku w stanie kawalerskim — dopiero po wojnie się ożenił i nie długo potem bezpotomnie zmarł.

Krótki pobyt na ziemi Rzeszowskiej może doprawdy wiele nauczyć. Wiele przypomnieć z historii naszego kraju, historii bogatej w wydarzenia i... kontrasty.

downictwa mieszkaniowego wymagają poważnych studiów. Rozwiązanie tych zagadnień tradycyjnymi metodami trwałoby wiele dziesięcioleci, pochłonięto by wiele środków. Stąd ważną sprawą staje się konieczność poszukiwania takiego postępu techniczno-ekonomicznego, takich metod realizacji, które by ów czynnik czasu i kosztu możliwie jak najbardziej ograniczały.

W wywiadzie znajduje się dokładne wyjaśnienie, na czym polega LSC. Oskar Hansen mówi m. in.

„Generalnie rzecz biorąc chodzi nam o to, aby zawrzeć w układzie osadniczym elastyczne współzależności stref obsługujących i obsługiwanych (...). Patrząc na mapę Polski wyraźnie widać rysujące się zagrożenie nadmiernego rozwoju pewnych aglomeracji. Aby nie doprowadzić do degeneracji tych siedlisk ludzkich, tworzyć musimy inną siatkę układów, które zatrzymują w sposób naturalny, nie administracyjny, ich rozwój (...). Nakaz administracyjny, nawet najmocniejszy, nie jest w stanie powstrzymać rozwoju obecnych miast (...). Weźmy jako przykład Warszawę. Otóż, od momentu zakazu meldowania w mieście, powstaje spontanicznie pierścień zabudowy wokół miasta. Poza linią zakazu budownictwa. A my, za środki społeczne, wypełniamy tak powstały garnek od środka. Po wypełnieniu układ się ujednolici. Powstanie, jak na polskie stosunki, megalopolis. Kompletny kocioł. A trudno wydać zakaz budowy, powiedzmy w promieniu 100 km od miasta”.

ROZMOWA Z MINISTREM SPRAWIEDLIWOŚCI

„Życie Literackie” publikuje rozmowę z ministrem sprawiedliwości prof. dr.

Targi krok ku specjalizacji

Podobno Płowdii — drugie (230 tys. ludności) pod względem wielkości miasto Bułgarii — urzeka zwłaszcza latem. Szkoda, że przybył tu dopiero zimą — kilka razy, prawie współcześnie, powtarza mi bardzo gościnny i miły Georgi Stoiczew, redaktor naczelny tamtejszego tygodnika młodzieżowego „Komsomolska Iskra”. Ale przecież i tak — właśnie dzięki niemu — w niezwykle krótkim czasie udało mi się sporo zobaczyć i zwiedzić tyle, by móc przekonać się, że po stokroć miał rację poeta francuski Alfons Lamartine, kiedy jeszcze przed 132 laty napisał o Płowdii: „Nie wyobrażam sobie cudowniej położonego miasta”. I do dzisiaj, mimo przecież znacznej rozbudowy, a może właśnie dzięki temu, miasto nic nie straciło ze swego uroku.

Nie ma wiele przesady w powiedzeniu bułgarskim, że w Płowdii każdy kamień

świadczy o burzliwej historii tego miasta, pamiętając

cego czasu Homera i Herodota. Położone na trzech wzgórzach, starannie przekształconych w parki, a rozciągające się po obu brzegach Maricy

— jest Płowdii w swojej części staro

miejskiej zadbane tak samo pieczołowicie jak odrestaurowane starówki naszych miast.

Ale Płowdii znane jest w świecie przede wszystkim jako miasto targów międzynarodowych, których tradycja sięga tu 76 lat. W tym roku, w którym ludowa Bułgaria obchodzi swoje ćwierćwiecze, targi płowdijskie odbędą się po raz dwudziesty. Są one największą tego rodzaju imprezą na Bałkanach i jako takie mają ambicję, lansowaną tu zwłaszcza od czterech lat, przekształcenia się w targi ogólnobułgarskie. A jednocześnie — i to jest dominujące — ich rolę w coraz większym stopniu określa dążenie Bułgarii do zacieśnienia jej współpracy w ramach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Tym celem w znacznym stopniu podporządkowuje się też plan rozwoju targów płowdijskich.

Szybki rozwój Bułgarii — a trze ba przypomnieć, że szczyty się ten kraj w gronie państw RWPG największym rocznym przyrostem dochodu narodowego — wzmacnia jej zainteresowanie kooperacją i specjalizacją międzynarodową. Moi gospodarze nie kryli, że dyktowane to jest, w części przynajmniej, niedostatkami własnych surowców i niewielkimi rozmiarami kraju.

Stąd wywodzą się takie inicjatywy, jak import nie surowców lecz półfabrykatów, czy też budowa nie fabryki samochodów osobowych, lecz montowni w oparciu o import części z ZSRR. Z tych samych przyczyn Bułgaria bardziej niż niektóre inne kraje socjalistyczne zainteresowana

Stanisławem Walczakiem zatytułowaną „O praworządności, zaangażowaniu i prawie do obrony”. Pretekstem rozmowy jest fakt, że wkrótce w Sejmie odbędzie się głosowanie nad projektami nowego kodeksu karnego, kodeksu postępowania karnego i prawa karnego wykonawczego. Minister mówi m. in.:

„Niesłuszne zastosowanie aresztu tymczasowego wyrządza ogromną szkodę człowiekowi. Łamie jego podstawowe prawo do wolności a także spowodowania odium podejrzeń społecznych, w której żyje (...). I to oczywiście dobrze, że jest taka wrażliwość społeczna, że kryminalna działalność jednostek jest naganna, że zasługują na potępienie w społeczeństwie. Ale jeśli zastosowanie aresztu tymczasowego jest nieuzasadnione — krywdą moralną podejrzanego jest tym większa, i dlatego chcemy go zabezpieczyć przed nią. (chodzi tutaj o przysługujący podejrzanemu przepis odwołania się od decyzji prokuratora w sprawie aresztu tymczasowego — do sądu. — dop. lektora)”.
Poza tym zwracamy uwagę na następujące pozycje:

„Miejsce dla „Trzeciej generacji” w „Kulturze”, „W cieniu Elany” B. Wiśniewskiej w „Życiu Gospodarczym”, „Kultura masowa czy powszechna” S. Adamczyka w „Tygodniku Kulturalnym”, „Szczęśliwość z taniem?” D. Bukalowej w „Głosie Nauczycielskim”, „Związek a nie cech” T. Hołuj oraz „Demokracja, technokracja, biurokracja” w „Polityce”.

LEKTOR

jest w międzynarodowym podziale pracy.

Sama oferuje specjalizowanie się w produkcji na przykład wózków akumulatorowych do transportu wewnątrzzakładowego, w czym zalicza się już do potęg światowych, i ciągników elektrycznych. Coraz większe możliwości osiąga też przemysł maszynowy, elektrotechniczny i metalowy, których udział w całej produkcji przemysłowej zbliża się już do 25 procent. Dużo nadziei pokłada się w rozwoju elektroniki, automatyki i przyrządów pomiarowych. Innym kierunkiem działania jest rozwój przemysłu chemicznego, a w nim zwłaszcza produkcji włókien syntetycznych i nawozów sztucznych. W tej ostatniej dziedzinie, jak zresztą w wielu innych, Bułgarzy wysoko sobie cenią, doświadczenia polskie, licząc na współpracę naszych specjalistów.

— Targi w Płowdii — powiedział mi zastępca ich dyrektora Siemion Giergijew — spełniać mają jakby rolę zwierciadła tych przedsięwzięć i zamierzeń. Chodzi nam o to, by znaleźć jak najlepsze warunki

dla eksponowania tych gałęzi gospodarki, które mają decydujące znaczenie dla naszych szeroko pojętych interesów. Tak na przykład przed dwoma laty zbudowaliśmy pawilon dla przemysłu budowy maszyn, dzięki czemu należyte miejsce ekspozycji znalazły nasze wózki akumulatorowe. Wtedy też powstał pawilon dla elektroniki.

Niedawno przystąpiono do realizacji perspektywicznego planu rozwoju targów. Jeszcze nie wszystkie jego szczegóły są znane, wiadomo jednak, że powierzchnia wystawowa — zarówno kryta jak i otwarta — ma być podwojona do około 320 000 metrów kwadratowych.

Wiadomo już, że powstanie jeden z największych na tych terenach pawilonów — czterokondygnacyjny o powierzchni 20 000 metrów kwadratowych — przeznaczony dla przemysłów lekkiego, spożywczego, meblarskiego i terenowego. Przygotowuje się bazę gospodarczą na placu o powierzchni 4 500 metrów kwadratowych. Do terenów targowych włączy się wyspę na Maricy, gdzie — po połączeniu jej mostem z terenami targowymi — powstana pawilon osiągnąć kulturalnych i socjalno-bytowych Bułgarii oraz część gastronomiczno-odpoczynkowa miasteczka targowego. Wreszcie — głów nie dla wygody gości targowych — zamierza się połączyć podziemnym tunelem z terenem targów zbudowany niedawno hotel „Marica”, dotychczas oddzielony od nich szerokim bulwarem Georgi Dymitrowa.

Myśli się też o pawilonie narodów, w którym znalazłby miejsce także kino i sale posiedzeń, a nawet o zbudowaniu hoteli na terenach targowych.

Jest to tylko część zamierzeń już teraz znanych. Generalny plan rozbudowy targów płowdijskich ma być gotowy za kilka miesięcy, jeszcze przed jubileuszowymi XXV MTP.

Pod tym względem targi zostały wyprzedzone przez miasto, które w grudniu ubr. rozstrzygnęło międzynarodowy konkurs na projekt rozbudowy Płowdii tak, by miasto mogło zwiększyć zaludnienie do 300 tysięcy. Nadeszło kilka prac z zagranicy, między nimi jedna z Polski. Ale pierwszą nagrodę zdobyli miejscowi urbanisci za projekt opracowany pod kierownictwem architekta Georgi Petkowa. Oglądałem tę makietę. Mogę zareczyć, że zyskując na wielkomięskości, Płowdii po realizacji tego planu nic nie straci ze swego wiekami historii ukształtowanego uroku. W mieście tak niepowtarzalnym jak to, jest to szczególnie ważne i pożądane.

Przeglądamy Prasę

WIELKOŚĆ I UPADEK MATYSIAKÓW

W artykule pt. „Historia wielkości i upadku Rodziny Matysiaków” Krzysztof T. Toeplitz na łamach „Kultury” kontynuuje cykl zapoczątkowany artykułem pt. „Nasz człowiek w Abwehrze” w jednym z poprzednich numerów tego tygodnika. Redakcja zapowiada, że następny pozycja z tego cyklu będą artykuły o polskiej powieści kryminalnej i o serii telewizyjnej „Cztery pancerni i pies”. Autor stwierdza, że u źródła zawrotnej kariery „Rodziny Matysiaków” leży fakt, że jest ona „samym życiem”, podśluchanym przez radiowy mikrofon i utwalonym na taśmie magnetofonowej w całym swoim wycinkowym, naturalistycznym natręctwie szczegółu, fragmentarycznej przypadkowości i monotoni charakteru głównych protagonistów. Zwraca przy tym uwagę, że wówczas kiedy Matysiakowie powstali, tzn. w połowie lat pięćdziesiątych zarówno literatura jak i inne dziedziny twórczości zaczynały dopiero wydobywać się z mrozu klimatu patetycznej fikcji.

„Rodzina Matysiaków” — pisze K. T. Toeplitz — widziana z perspektywy kilkunastu lat jej historii, przedstawia sobą dość wierny portret wzlotu i upadku marzenia, które zanim zdążyło obrósnąć żywą materią rzeczywistości, przeistoczyło się w anachronizm (...). Kłeska „Rodziny Matysiaków” nadejmuje z dwóch stron. Chcąc kulturowo zawiesisty i pochwiny „wzór robotniczej rodziny”, rodzina Matysiaków musi stopniowo cofać się w rejony izolacji, podobnie jak w odosobnieniu rozwija się sam organizm, który nie chce zetknąć się z zarażeniem. Gdyby Matysiakowie istotnie wykształcili swoje dzieci, rozbudując w nich wyższe aspiracje, musiałby któregoś dnia stanąć w obliczu bolesnego konfliktu, kiedy sposób życia rodziców wydałby się dzieciom niezadawalający. Gdyby synowie Matysiaków posiadli istotną wiedzę — począwszy moralną ojca przestali by być dla nich wystarczającym drogowskazem...”

PO ZJEJZDZIE ZLP

„Współczesność” publikuje artykuł Marka Jaworskiego pt. „Po Zjeździe ZLP”. Autor pisze m. in. o tym, że z trybuny bydgoskiego zjazdu ogłoszono przełom, zjawisko mające swą genezę w dalekiej przeszłości.